

Błąkała się tu i ówdzie bzdurna teoryjka, że sztuki o poważnym ideologicznym ciężarze gatunkowym, sztuki, jak się to zwykle mawia „politycznie ostre” nie cieszą się specjalną popularnością wśród naszej publiczności. Tymczasem na scenach naszych teatrów wybuchł „Domek z kart” Emilia Zegadłowicza i w sile tej „eksplozji” powiedły wspomniane teoryjki. Okazało się, że nasz odbiorca produkcji teatralnej chodzi nader chętnie na sztuki prawdziwie „politycznie ostre” — dobrze napisane i dobrze zagrane, natomiast nie zawsze ma chęć zobaczyć przedstawienie, którego jakość — choćby intencje autora i wykonawców były najzaczniejsze — budzi niejako zastrzeżenia.

Nader wymowną ilustracją tej prawdy jest fakt, że w okresie wystawienia „Domku z kart” krąży po Warszawie takie dowcipne powiedzenie: „dwie rzeczy stosunkowo trudno jest kupić w stołce” — młodego hipopotama i bilety na przedstawienie „Domku”. W warunkach rzeszowskich komplety widowni na spektaklach tej sztuki też nie wymagają komentarzy.

Teatr Ziemi Rzeszowskiej, jako instytucja obsługująca kulturalne potrzeby mieszkańców naszego województwa odegrał rolę politycznie niezwykle ważną. Wystawił bo-

Z TEATRU

WIELKA PREMIERA

wiem sztukę o wydarzeniach — jeśli czas kalendarzem mierzyć — niezbyt odległych. Jeżeli jednak do minionych lat przyłożyć miarę przemian społeczno-ekonomicznych, to okaże się, że wydarzenia postacią maszkar z satyrycznej budy jarmarcznej, to zjawiska z epoki bardzo odległej, przekreślonej raz na zawsze przez nasz naród, który dramatis personae onych czasów: tych starostów, szpicliów sławojów-skladkowskich; ich panów rodzimych i obcy kapitał wyrzucił bezpowrotnie na śmietnik (czasem to śmietniko nazywa się „hotel White Eagle” i mieści się aż w Londynie).

Dlatego wystawienie sztuki „Domek z kart” jest nie tylko wycieczką w przeszłość. Ono nie stawia widza w roli beznamietnego obserwatora dawnych czasów. „Domek” napisany przez Zegadłowicza przepełniony żarliwą pasją, widzącego już wtedy, w mrocznym perspektywy rozwojowe naszego narodu. Zegadłowicza jak żaden dotąd dramaturg ukazujący cego prawdę o tamtych czasach, jest przeżyciem głęboko mobilizującym. Mobilizującym dlatego, że oglądając na scenie „tamte czasy”, pełne politycznego i moralnego nara-

mu tym głębiej przeżywamy naszą rzeczywistość, rzeczywisty stość narodu wyzwolonego od wyzysku. „Domek z kart” wskazuje jak bardzo szkodliwe są obciążenia wyjęte w ponurym sławojowsko-beckowskim okresie, które tu i ówdzie nam jeszcze przeszkadzają. Wydarłiśmy bowiem władzę z rąk kapitalistów i ich lokal, ale robocie jeszcze nie koniec. Trzeba do reszły sparaliżować działalność ich niedobitków; w mieście i na wsi.

Wielką zasługą kierownictwa teatru i ludzi, którzy mają wpływ na jego produkcję polega nie tylko na doskonałym wystawieniu tej sztuki, choć to rzecz zasadnicza, lecz także i na tym, że praca nad realizacją „Domku” wyznacza prawdziwy przełom działalności teatru. Ponieważ okazało się, że trafny dobór sztuki, gęboko przemysłana koncepcja reżyserska, dobra praca z aktorem i pozostawiali członkami zespołu dają w rezultacie widowisko potrzebne, cieszące się w pełni usprawiedliwionym uznaniem widza.

Reżyser „Domku z kart” Wanda Wróblewska właściwie wydobyla i podkreśliła w widowisku akcepty demaskujące przedwrześniowe czasy, stosunki i ludzi. A nie było to rzeczą łatwą, gdyż trzeba było stopić w jedną całość elemen-

ty poważnego, pełnego pasji oskarżenia z karykaturalnym niekiedy ujęciem postaci i konfliktów. Rolą, która daje próbkę tych trudności i jest zarazem sprawdzianem słusznej linii reżyserskiej i wysokiej jakości roboty aktorskiej jest Sławoj-Skladkowski w interpretacji Stefana Bartika.

Chodziło tu o pokazanie postaci premiera - stupajki”, jednego z najwierniejszych wykonawców poleceń jego rzeczywistych panów: właścicieli fabryk i majątków ziemskich. Przy czym należało wykazać — nie jako w krzywym zwierciadle — całą sławojowską tepele, ograniczoną jego umysłu, jego moralność szulera przegrywającego do bankierów, do Hitlera, do naszego narodu. Trzeba go było pokazać w otoczeniu mniejszego kalibru handlarzy: starostów, „literatów”, pań prezesowych, którzy na wypródkę próbowali kramaryć przyszłością narodu. Zarówno aktor jak i reżyser osiągnęli ten trudny cel ustrzegli się wypaczenia postaci premiera jak i prezesowej (Halina Kosznicówna), literatów (Tadeusz Sabary, Józefa Jachowicza, Kle mensa Romana) ujęciem groleskowym, które rozdziłoby niebezpieczeństwa zamazania całej grozy i wielkiej szkodliwości społecznej tej galerii tyków.

Jest w sztuce postać postę-

powego małtaza i publicysty Brunona Sztorca. Zbigniew Wójcik, który ją nam pokazał, wiele starań włożył, aby należycie zrozumieć intencje autora i właściwie wypełnić reżyserskie wskazania. Zegadłowicz w Brunonie Sztorcu widział człowieka, który wśród plew sanacyjnych kretyńskich hasel, słów, czynów rzucających Polskę w łapy międzynarodowego kapitału, umiędzynarodowemu kapitału, umiędzynarodowemu kapitału, umiędzynarodowemu kapitału jego ekspansję na Wschód, umiał rozemnać ziarna prawdy w sprzeciwie narodu przeciwko tej polityce, w jego dążeniach do wyzwolenia społecznego. Niewątpliwy sukces, jaki Zbigniew Wójcik odniósł w roli Sztorca wskazuje, że ten inoły i zdolny aktor jeszcze nie jeden raz pokaże na scenie naszego teatru postacią prawdziwych, nie papierowych ludzi.

Podkreśliwszy tyle pozytywnych momentów w robocie reżysera i aktora trzeba wskazać na jej pewną rysę. Chodził mianowicie o starostę (Zdzisław Kozień), bowiem w tej postacią pewnej bardzo ważnej rzeczy nie pokazano. Nie wypowiedziano tu do końca intencji autora: co kryło się za układnościami i „dobrymi manierami” pana starosty, tego całego sarnawinego smrodku, brudnych żoldackich metod następowania z „nienrawymi” — szczególnych „zaleń”, które też

dżentelmen wyniósł z legionowej szkoły. z ONR-owskich bojówek czy też Innych zakładów kształcenia członków klanu rządzących. Trzeba wytknąć w pierwszym rzędzie reżyserowi, że nie dopomógł młodemu i utalentowanemu aktorowi — jakim jest Kozień, odnaleźć właściwego starostę.

W pozostałych rolach wystąpili: Bolesław Werowski, Stefan Michulowicz, Mieczysław Stoor jako dziennikarza postępowego pisma; Stanisława Gal — Kitti; Henryk Różgiewicz — mecenas Kłeczek; Jerzy Witowski — szpicel Prycz i inni.

Kilka słów o scenografii Irenej Perkowski: pierwszy i trzeci akt nam się podobają. Mamy pewne zastrzeżenia jedynie do dekoracji w akcie drugim, gdzie niedostatecznie wydobły mieszczańską — sążną się na dobry smak tandetę.

W sumie, wysiłek respektownie sprawia, że „Domek z kart” Emilia Zegadłowicza — sztuka o olbrzymich walorach artystycznych i ideologicznych uczy i wychowuje. Starszemu pokoleniu, które na własnej skórze przeboleło tamte czasy, pomaga wyostrzyć poczucie naszej przyszości rzeczywistości. Młodemu mówi: patrzcie — czym chcieliby przekreślić waszą przyszość panowie z Wall Street i ich różnego pokroju lokalczyki — adanawery i inne andersy; chcieliby, ale nie mogą i nigdy nie będą mogli.

MACIEJ SZCZEPANOWSKI
LUDK. Rzecz. Zakł. Graficzne S-4-25664

Nowiny Arsenowice

29-IX

1953

nr 32